

# Na owsianej mieszance

Stefan „Wiech” Wiechecki

\*zachowano język oryginału



Lokomocja na wyścigach — rok 1900

— Leguralny warszawiak z towarzystwa, bez bomby jasnego piwa z wianuszkiem i wyścigów konnych egzystować nie może — powiedział do mnie podczas pierwszych powojennych Derbów na Służewcu, przyjaciel mój p. Teoś Piecyk z Targówka. Odziany był wówczas w uroczysty smoking, na głowie miał melonik. Szyję przyozdobił sobie białą muszką i piękną i wyścigową lornetką w futerale ze świńskiej skóry.

W tym stroju mógł się śmiało pokazać na najbardziej ekskluzywnej trybunie każdego angielskiego toru.

— Nie wiedziałem, że należy pan do entuzjastów hodowli konia rasowego w Polsce — rzekłem.

— Co proszę? Nigdzie nie należy. Bezpartyjny jestem.

— A więc pociąga pana hazard na zielonym torze?

— Nic mnie nie pociąga. Warszawski rodak patriota jestem i w taki sposób musze w ten choleryczny upał w sztywniaku się męczyć i na tramwajowym buforze z Targówka na Służew zapychać.

— Nie rozumiem, co ma wspólnego patriotyzm z wyścigami?

— A ja rozumie. Rozchodzi się o to, że Warszawa w charakterze stolicy fason trzymać musi i ani

Londyn, ani Paryż, ani Moskwa zanadto dla niej ważne być nie mogą. Warszawa to nie Garwolin, żeby się w niej wyścigi w workach z jajkiem na twardo na łyżce taskanej odbywać mieli. Gdzie indziej konie latają, takie samo prawo mają latać i u nasz. Czem więcej rozbebeszona Warszawa, tern sztywniejszy krochmal musiem trzymać na Służewcu, bo oprócz Banku Gospodarstwa on jeden w całości nam się został. I ja jako warszawiak z dziada pradziada zmuszony jestem to podpierać.

— Więc nie zaryzykuje pan zagrać ani razu?

— Kto to powiedział, rzecz jasna, że zaryzykuje, ale w żadne wygrane na wyścigach nie wierze.

— Dlaczegoż to tak pesymistycznie odnosi się pan do tych możliwości.

— Dlaczego, bo skądziesz ja wiem, czy szewc Bigosiński z Targowej ulicy akurat na tego samego konia nie postawi?

— A cóż to ma do rzeczy?

— Co ma? Frajer pan jesteś, ma bardzo dużo.. Ten szewc jest taki fartowny, że swoim największym wrogiom takiego fartu życzę. Nic mu nie idzie. Inni jego sąsiedzi do majątku doszli, a on nic. W ciągu roku dwa sklepy przepił. Brał w swoim czasie udział w katastrofie kolejowej, ludzie pieniądze na tern porobili, po kilkadziesiąt tysięcy powygrywali za rękie, za nogie, a jemu nic się nie stało, i ma się rozumieć grosza nie dostał. Takie już ma garbate szczęście. No to teraz graj pan z takim fuksa. Czy może przyjść? Za żadne cholere nie.



Lokomocja na wyścigach — rok 1966

Mimo tych zastrzeżeń widziałem, że pan Teoś bardzo się przejmował wyścigami. Chociaż zgubiliśmy się w tłoku, coraz ukazywał się w tłumie jego uroczystry sztywniak. A kiedy dekorowano błękitną wstęgą zwycięzcę Derbów widziałem wyraźnie, że pan Piecyk trzyma konia za uzdę i rej wodzi wśród wyścigowej elity. Z pewnością zawdzięczał to swojej wytwornej powierzchowności, a zwłaszcza lornetce w futerale ze świńskiej skóry.

Przy wyjściu spotkaliśmy się znowu. Pan Piecyk wyraźnie był zadowolony ze spełnienia obowiązku wobec ukochanej stolicy. Po krótkiej wymianie myśli na temat tegorocznego derbisty, patrząc na piękny futerał zagadnąłem:

— A jakże się spisywała pańska wspaniała lornetka?

— To nie lornetka — same pudełko. Z szabru na Bazarze Różyckiego kupiłem. Wygodne — dwie paczki „Sportów” i pudełko zapalek w niem nosze. A poza tern rozchodzi się o fason i męskie modę wyścigowe.

Nic więc chyba dziwnego, że chcąc uczcić felietonem 125 rocznicę istnienia Towarzystwa Wyścigów Konnych zwróciłem się do pana Teosia o pomoc. Zgodził się chętnie:

— Przede wszystkim zrób pan sprostowanie. Jakie 125 lat? Wyścigi istnieją grubo dawniej. Już starozakonny kozak niejaki Ben Hur z łachudrą Neronem na dwukonnych kibitkach po rzemskim cyrku się ganieli, który będzie pierwszy. Tam powstał pierwszy totok i pierwsze bokmacherzy. Jakie byli wypłaty historia nasz nie poucza, ale musieli być poważne, bo do cyrku w mieście Rzemie zamożna publika uczęszczała.

— Zaraz, panie Teosiu, tu chodzi o pierwsze wyścigi konne w Warszawie.

— Jeżeli o wiele nawet w Warszawie, także samo więcej czasu minęło aniżeli pan nadmieniasz. Już jakiś pradziadek Gucia Potockiego — tego, którego w pijanym widzie po Warszawie jeździł i złote pięciorublówki publice z parakon-ki rzucał — pierwsze biegi wyścigowe u nasz zaprowadził. Żokiei jeszcze nie było, no to ten ów Potocczak, grząsiów z Wilanowa na konie od bryczki powsadzał, baty dał jem w rękie i w krakowskich strojach kazał zapychać przez Marszałkowskie od Wiedeńskiego Dworca do Placu Unii, zwanego wtenczas Rondem Mokotowskim. Rzecz jasna na oklep.

Duża to była wygoda dla graczy, bo bileta wejścia nie byli potrzebne, ale zabradziażenie kołowego ruchu przez to powstawało. Ponieważ derożkarskie konie zaczęli brać udział w gonitwach i wygrużali pasażerów do rynsztoków, które wtenczas mieli do 3 metrów głębokości.

To tyż jak powstałi pierwsze tramwaje konne i belgijskie perszerony zaczęli się próbować z wyścigowemi końmi, oberpolicmajster Trepów kazał przenieść wyścigi na Pole Mokotowskie. W tern mniej więcej miejscu, gdzie dzisiaj znajduje się studencki drapacz chmur pod tytułem Riwier, była główna trybuna.

— Coś mi się wydaje, panie Teosiu, że pan pomieszał ludzi, epoki i wydarzenia.

— Czy się panu zdaje czy nie, rzecz obojętna, na Mokotowskie Pole sam osobiście uczęszczałem ładne parę lat, a z Chatizowem, starem Góreckim, Jagodzińskim, Jednaszewskim i inszemi żokiejami byłem znajomy z widzenia.

Było faktycznie co widzieć na Polu wtenczas. Jak się dzwonek rozległ, że „bomba gajt”, czyli kasy zamknięte, wyścig zaczęty, to najspokojniejsze gracze na siatkie się wdrapywali i krzyczeli:

— Dawaj Maczuga! Dawaj Chatizow! Dawaj Cherubin!

A czasem niejedyn zapalony gracz, jak widział, że dostaje w kuchni, zaczynał łąć bambusem swojego sąsiada. Ten nie bardzo się nawet obrażał, mówił tylko:

— Kogo pan poganiaasz? Mnie pan poganiaasz? Swojego łacha pan łaską zaprawiaj.

Bo rozumieli ludzie, że nerwy mają swoje prawa.

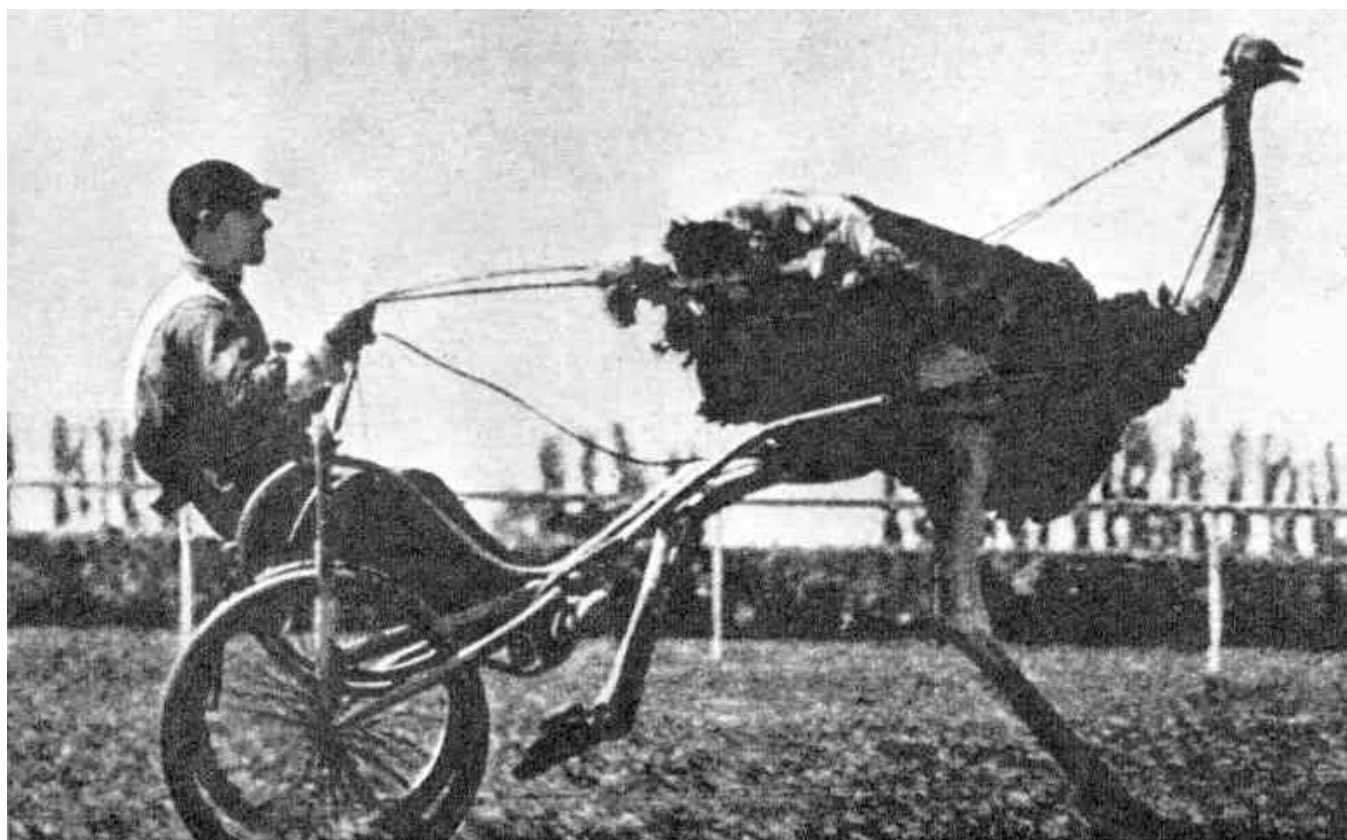
— Az jakim szczęściem pan grywał? Dużo pan przegrał?

— Nie mogie powiedzieć, przyczyniłem sie troszkie do hodowli koni w Polsce przed wojną.

— A teraz?

— Teraz tyż sie nie uchylam. Koń towar eksportowy, za jednego araba dwulatka można dostać tyle dewiz, co za parę wagonów ślimaków i żab. To wole chiba na Służewiec sie od czasu do czasu przejechać, aniżeli po Skaryszewskim parku ślimaki zbierać i za ropuchami sie uganiać.

No, ale żart żartem, śmiech śmiechem. Zaczem zacznem wytwarzać masowo eksportowe samochody, produkujmy te alegantkie owsianą mieszanką pędzone sempatyczne motory. A za drugie 125 lat pogadamy.



Nie lada sensacją był występ dwunogich wyścigowców na torze mokotowskim — strusi, zaprzężonych w dwukołowe, lekkie wózki tzw. sulki. Pokaz przeprowadził Włoch Melloni, hodowca strusi i miłośnik tego rodzaju wyścigów, który w swym tournée po Europie zawitał do Polski. Poza startami na torze, strusie przedefilowały przez ulice Warszawy. Ten niecodzienny wypadek w historii wyścigów konnych miał miejsce w roku 1936.